

Mgr Krzysztof J. Kwiatkowski

Metoda działań niekonwencjonalnych

Cz. 1 – Nauczyciel uwikłany (wszystkie opisywane przykłady posiadają swój desygnat)

*Na końcu swojego życia pomyślisz sobie, w jaki sposób mogłeś przeżyć każdy miniony dzień.
Wtedy jednak nie będziesz mógł cofnąć czasu.
Zaczynij więc żyć już teraz!*

Marek Aureliusz

Wszyscy jesteśmy uwikłani w układy konwencji zachowań. Regulacja tego, jak człowiek zachowuje się w sytuacjach społecznych, jest z jednej strony ułatwieniem w wyborze postępowania, z drugiej zaś – pozwala odczytywać cudze reakcje. Wierne trzymanie się zwyczajowych reguł pozwala być w grupie tzw. „osób dobrze wychowanych”; a opowieść G.B. Shawa zatytułowana „Pigmalion” przedstawiła uwarunkowania utrzymywania się w „wyższych sferach”. Decyduje o tym często nie treść tego, co mówimy, ale przyjęty sposób postępowania, artykulacja, timbre głosu, gestykulacja, rodzaje spojrzeń... sama konwencja.

Trzymanie się konwencji więziennej podkultury, nie pozwala opuścić tego środowiska.

Jesteś małym dzieckiem. Obserwujesz swoją mamę, obserwujesz tatę i babcię – spostrzegasz, że niektóre rodzaje ich zachowań cieszą się uznaniem. Z pewnością kiedyś, nawet nieświadomie, zastosujesz je.

Twój kolega ma fajny sposób odgarniania włosów z czoła – naśladujesz go, i wydaje ci się przy tym, że przejmujesz tym samym inne jego cechy, które ci się spodobały.

Chodząc do szkoły patrzysz, jak zniecierpliwiona Pani wali dziennikiem o pulpit biurka, aby uciszyć dzieci. Będziesz nauczycielką? Zawsze chciałaś nią być – zatem pewnego dnia zaczniesz walić dziennikiem o pulpit nawet nie zastanawiając się, że nie robi to na nikim żadnego wrażenia.

Banalne stwierdzenie, iż czasy się zmieniają – jest faktycznie banałem, kiedy służy tylko pokiwaniu głową nad ogólnym obrazem świata oraz „dzisiejszych czasów”. I nie zmienia to faktu, że świat się zmienia, a czasy się zmieniają wraz z metodami oraz wrażliwością na nie. W potocznej mowie wciąż utrwalają się powiedzenia, które nie istniały wówczas, kiedy byliśmy dziećmi, zanim ty zostałaś nauczycielką, a ja wychowawcą. Nasi podopieczni nie znają słów, które dla nas były codziennością. Gesty, te znaczące? – to samo. Cały system technik niegdyś służących komunikacji, zaprowadzaniu porządku, wzbudzenia zainteresowania, motywowania, kształcących koncentrację uwagi, poczucie odpowiedzialności, poczucie wspólnoty... wszystko wytarło się na łokciach...

Dorośli ludzie w jakimś momencie przestają nadażać za czasami. Tkwią w epoce swoich wyobrażeń o tym, jak powinno się wychowywać, nauczać i traktować dzieci. Nic tam się nie zmienia. Nawet widzenie tego, że dzieci mają innych idoli i inne gusta. Pamiętam, że w mojej młodości zgryźliwie reagowaliśmy na argumenty dorosłych stwierdzeniem: „*Tak... a przed wojną nawet w telewizji były lepsze programy*”. Świat dzieci i dorosłych bywa rozdzielony. By być skutecznym w wychowaniu, trzeba umieć szukać poprawnego języka komunikacji, tego łączącego.

Dzieci szybko zaczynają orientować się, że zasób pomysłów na oddziaływanie jest u nauczyciela nieadekwatny lub ubogi. Cechą dojrzewania do dorosłego świata jest uzyskiwanie autonomii. Nieadekwatność nauczyciela bywa źródłem nieporozumień. Dziecięce dążenie do autonomii polega na eliminowaniu sytuacji, które w naturalny sposób nie sprzyjają rozwojowi. Mówiąc inaczej – pojawia się coś, co nazywa się „młodzieńczym buntem”. Tego rodzaju zachowania zawsze budzą negatywne emocje u dorosłych. Ba, ale zdenerwowanie jest objawem braku panowania nad sytuacją, a to stanowi kolejny sygnał, że dorosły nie radzi sobie. To z kolei wywołuje narastanie fali eliminowania niesprzyjających sytuacji, a więc buntu. Koło się zamyka, powstaje sprzężenie zwrotne. Dorosły

demonstruje coraz bogatszą ilość reakcji nieadekwatnych – reakcje te mogą jedynie przyspieszyć upadek autorytetu.

Kiedy Jan zajął się wychowywaniem, był jeszcze w wieku młodzieńczym. Stąd wyniki jego obserwacji dorosłych, którzy stali się kolegami w pracy, były przesiane przez specjalne sito i budziły u niego niepokój. Wiedział, że chociaż rozumiał ich intencje, sam nie potrafiłby podporządkować się stosowanym metodom niektórych z nich. Zadał sobie pytanie o to, co powinno się stać, aby mógł zgodzić się z argumentami ludzi dorosłych. Odpowiedź była jedna: potrzebowałby poczucia, że postępowanie dorosłego jest nie tylko wynikiem przewagi nad podopiecznym, ale świadczy także o szukaniu porozumienia ze strony dorosłego. Szukanie porozumienia, to nic innego, jak dążenie do posługiwania się takimi środkami wyrazu, które byłyby dla Jana czytelne.

Jako świeżo upieczony wychowawca w pogotowiu opiekuńczym Jan był świadkiem awantury między wychowawczynią a wychowankiem. Powód był *de facto* niezbyt istotny, lecz wytoczone przez osobę dorosłą „działa” – powalały. Nie interweniował, bo uważał, że wtrącenie się sugerowałoby, że ma identyczny z wychowawczynią pogląd na sposób załatwiania sprawy. Nie miał w sobie poczucia koleżeńskiej lojalności, gdyż historyczne zachowanie wychowawczyni było wręcz odstręczające. Wkrótce został wezwany przez dyrektora w związku ze skargą owej pani, że jej nie pomógł. Dyrektor dobrze zrozumiał Janowe tłumaczenie. Jan jednak był poruszony całą sytuacją.

W ten sposób dotarł do zagadnienia związanego ze swoją rolą. Uzmysłowił sobie, że jego zadaniem jest wpływać na wychowanków tak, aby przekaz był akceptowany, żeby nie wywoływał niepotrzebnie odruchu buntu. Czy wobec tego miał się podobać? Czy miał przekupywać uśmiechem, uległością, zgadzaniem się na wszystko? Wiedział, że nie. Był świadom, że przyjdzie mu podejmować decyzje niepopularne. Musiał znaleźć sposób, aby być czytelnym w odbiorze, by jego prawdy mogły być akceptowane.

Nieraz jednak okazywało się, że życiowe doświadczenie Jana było zbyt ubogie i nadto pełne wiedzy nieprzydatnej. Wszelkie środki oddziaływania były jedynie kopią zachowań, jakie stosowali „jego dorośli”, a przecież już w tamtym czasie okazywały się bezwartościowe. Uparte stosowanie w praktyce środków nieskutecznych nie leżało w Janowej naturze. Tak powoli doszedł do wprowadzania w życie jego własnych, twórczych zachowań. Bazą była zakodowana w nim wiedza o tym, co jest dobre, a co złe. Moralność. Wiedział, że musiała to być baza trwała i pewna, a nie koniunkturalne zwroty w poglądach. Coś jednak musiało być nowe – repertuar zachowań.

Odpowiedź przyszła szybko. Pogotowie opiekuńcze zostało potajemnie odwiedzone przez byłych wychowanków, którzy mieli tu jakieś swoje porachunki. Kiedy Jan usłyszał ostry gwizd, a niektórzy z podopiecznych zaczęli zachowywać się jak rekiny czujące krew, podążył ich śladem po schodach aż ku strychowi. Tam zobaczył dwóch obcych chłopców stojących naprzeciwko grupy mieszkańców internatu. Jeden chłopak z tej drugiej grupy trzymał przed sobą otwartą brzytwę.

Jan szedł po schodach powoli. Widzieli go już i oczekiwali reakcji. Miał w głowie całkowitą pustkę, a właściwie w mózgu tłukło mu się pytanie: „*Co ja mam zrobić? Co ja mam zrobić?*”. Nogi miękły coraz bardziej. Szedł. Kiedy zbliżył się na wyciągnięcie ręki, **musiał** coś zrobić. Nie było już wyjścia.

Położył dłoń na ramieniu najbliższego stojącego, obcego chłopaka, i powiedział spokojnie: „*O, jak się cieszę, że tu wpadliście!*”. Drugi chłopak wykonał w tym czasie potężny wykop, brzytwa najpierw szerokim łukiem poleciała ku górze, potem spadła pomiędzy poręczami schodów na sam dół. Dowiedział się później, że upadła pod nogi jednego z wychowawców, który zrobił na ten widok w tył zwrot, zniknął w swoim kantorku i długo się nie pokazał.

Jan powiedział: „*Chodźcie ze mną, pogadamy!*” i zaczął schodzić na parter. „Goście” bez słowa ruszyli za nim. Każde drgnienie powietrza świadczyło o tym, że Jan panuje nad sytuacją. Po wielu dniach dowiedział się, że „goście” jako wychowankowie byli szczególnie niesforni i nie poddawali się tak łatwo poleceniom wychowawców. Tak Jan zdobył pierwsze punkty u swoich podopiecznych.

Po trzech latach Jan pracował już w ośrodku wychowawczym. W pierwszych miesiącach zdarzyła się rzecz następująca: dwóch najbardziej „bandziorowatych” chłopców biło się w ubikacji. Ślady bójki widniały na ścianach i na podłodze, bo krew tryskała a wyrwane włosy unosiły się dookoła. Pod ścianami stali wychowankowie żądni ekscytującego widowiska i zachęcali bijących się do zwiększonego wysiłku. Kiedy Jan wszedł do pomieszczenia, wiedział już, że musi zastosować swoją sprawdzoną taktykę. Polegała ona na użyciu w praktyce hasła: „*Co zrobiłby typowy wychowawca?*”, po czym należało postąpić inaczej.

Wszedł pomiędzy bijących się i powiedział do jednego z nich: „*Słuchaj, pożyczyleś od chłopców z mojej grupy karty – chcemy pograć. Możesz je przynieść?*”. Chłopak przerwał bójkę, odwrócił się i poszedł.

Konwencjonalne zachowanie „*Co tu się dzieje?!*”, „*Który zaczął?!*”, „*Proszę natychmiast przestać!*” – mogłyby nie spowodować żadnej reakcji. Jaki byłby więc sens stosowania ich? Dla satysfakcji, że coś się zrobiło? Dla możliwości powiedzenia, że młodzież jest tak trudna, że nawet nie reaguje?

„**Co zrobiłby typowy wychowawca?**” jest tu hasłem kluczowym. Stanowi punkt wyjścia dla ominięcia rafy nieskuteczności. Ten model działania jest konieczny i dla efektywności wychowawczej w konkretnej sytuacji, i dla budowania potencjału pedagogicznego – autorytetu. Autorytet jest bowiem modyfikatorem dającym wysoką sprawność w przyszłości. Nie bierze się on z samego faktu bycia wychowawcą (autorytet formalny), posiadania wiadomości (autorytet wiedzy), czy stosowania nacisku (autorytet przemocy). Autorytet moralny, ten najważniejszy, bierze się... z serca. To wielce nienaukowe sformułowanie. Ale jakże zrozumiałe...

„*Co zrobiłby typowy wychowawca?*” jest hasłem, które ma w podtekście smutne konotacje. Za tym hasłem stoi formalizm. Bywa tu ważniejszym zachowanie zgodności z wymaganiami zewnętrznymi, czyli żądaniami zwierzchnika niż wypełnienie wymogów życia. Mniej ważne są osobowość i przyszłość wychowanka. Gdzieś zanika posiadanie własnego zdania...

Za tym hasłem stoi też staranie by zagłuszać własne sumienie. Wypełnianie zaleceń zwierzchnika i poczucie, że „zrobiło się wszystko”, pozwala schować się w tłumie innych ludzi, a wszyscy schowani są tam unikając obowiązków wobec bliźnich. Kiedy napotykają na czyjś kłopot, czyjeś nieszczęście współczują... i odchodzą w tłum.

Obecnie w naszym kraju przybywa bezsilnych i niezaradnych ludzi, którzy nie posiadają ani domu, ani środków do życia. Innym ludziom, mającym poczucie stabilności, trudno zrozumieć, jak się wtedy żyje. Ci bezradni czy bezdomni ludzie mają czasem dzieci. Chodzą one po świecie i wcale nie szukają przygód oraz radości, lecz raczej czegoś do zjedzenia. Czy wiadomo, jak zachowa się przeciętny dorosły osobnik zatrudniony na stanowisku związanym z pomocą takim właśnie dzieciom...?

Otóż okazuje się, że przeciętny dorosły... „*ma za złe*”. Ma za złe choćby to, że ktoś chodzi po świecie w brudnej odzieży i rzadko się kąpie. Ma za złe, że ktoś ma za ważniejsze przeglądanie zawartości śmietnika, niż siedzenie w szkole na lekcjach. Przeciętny dorosły dobrze wie, jak powinno być, a jeżeli tak nie jest, to jest to wina tego drugiego człowieka, który zapewne **nie chce, nie stara się**. To wszakże budzi niechęć. Nawet jeżeli społeczny model zachowań wymaga współczucia. Można jednak wówczas... **mówić** o współczuciu. To wystarcza.

Rzadko zdarza się przeciętnym dorosłym (a są nimi także nauczyciele, wychowawcy i urzędnicy), aby nie mieli sumienia. Sumienie potrafi nie dać spać albo spojrzeć sobie w oczy. Życie jednak ma swoje reguły i przeciętny człowiek musi się do nich stosować. Toteż napotykając na swojej drodze dziecko potrzebujące pomocy – nie potrafi odmówić działania. Proces ten teoretycznie wygląda tak:

1. dziecko zostaje przejęte (zabrane z ulicy, odebrane rodzicom)
2. dziecko zostaje ujęte w dokumentacji
3. dziecko zostaje przekazane właściwej instancji
4. dziecko zostaje przebadane (dokumentacja staje się grubsza)
5. dziecko zostaje przekazane gdzie indziej zgodnie z zakwalifikowaniem
6. ewentualne problemy z dzieckiem powodują pogrubienie dokumentacji po czym...
7. dziecko zostaje przekazane gdzie indziej, zgodnie z nowym zakwalifikowaniem

Na każdym etapie dziecko napotyka przeciętnych i posiadających sumienie ludzi. Część z nich działa zgodnie z poleceniami i przekazuje problem dalej. W ten sposób sumienie pozwala im spać i spoglądać do lustra...

Cóż... prawa, konwencje, bycie rzetelnym w pracy, sprawdzanie się w życiu – tworzą zęby trybów jednej maszyny, która w życiu ma nam wszystko ułatwić.

Tylko... żadna maszyna nie zapłacie nad ludzkim losem.